ROZMAITOŚCI.

Dnia 20. Grudnia. Nr 51. Roku 1854.

SŁOWIK.

(Z bajek Andersen'a).

(Dokończenie. Ob. Nr. 50. Rozmaitości.)

Trzydzieści trzy razy spiewał tę samą aryę, a jeszcze tchu mu niebrakło. Wszyscy byliby chętnie słuchali ją znów z początku, ale Cesarz pragnął, by dla odmiany jeszcze żywy słowik coś zaspiewał. — Ale gdzież on się podział? Nikt niespostrzegł, że ptaszyna korzystając z chwili uleciała otwartém oknem do zielonego lasu.

„Cóż-to za zuchwałość!“ — rzekł gniewnie Monarcha. I wszyscy dworzanie gniewali się i osądzili, że słowik to bardzo niewdzięczne stworzenie. „Ale najlepszy ptak pozostał nam przecież!“ mówili; znowu tedy nakręcono sztucznego słowika, i po trzydziesty czwarty raz zachwycali się słuchacze tą samą aryą. Ale jeszcze nieumiano jéj na pamięć, bo była bardzo trudna. A nadworny słowikarz niemógł dość nachwalić swego ptaszka; bo nawet zapewniał, że lepszy niż prawdziwy słowik, i to nietylko co do powierzchowności ale i co do wartości wewnętrznéj.

„Bo uważcie tylko, moje państwo, a najjaśniejszy Pan przedewszystkiém! U prawdziwego słowika niemożna nigdy przewidzieć, co nastąpi; ale u sztucznego wszystko wyrachowane! Można go otworzyć, rozebrać i pokazać myśl ludzką, jak walce leżą, jak się obracają i jak jedno wynika z drugiego!“ —

„Właśnie i ja tak myślałem!“ — mówili wszyscy; i nadworny słowikarz otrzymał pozwolenie, na przyszłą niedzielę pokazać ptaszka ludowi. Lud ujźrzał ptaszka, i zachwycał się spiewem jego i tak był uradowany, jak gdyby się upił herbatą, bo to już taki zwyczaj w Chinach; i wszyscy mówili: „Oh!“ wnosząc przytem palec do góry i kiwając głową. Ale biédni rybacy, którzy słyszeli prawdziwego słowika, mówili: „Ładny to spiew wprawdzie, i melodye podobne także; ale coś brakuje, ja sam niewiem co!“

Prawdziwy słowik został wygnany z kraju i z państwa; sztucznego zaś umieszczono na poduszce jedwabnéj tuż przy łóżku Pańskim. Wszystkie podarunki, które otrzymał, złoto i klejnoty, leżały dokoła niego; kazano go tytuło-

wać: „Nadwornym spiewakiem poobiednim,“ a w godności zajmował piérwsze miejsce po lewéj stronie. Słowikarz napisał dzieło w dwudziestu pięciu tomach o sztucznym ptaszku; była-to rozprawa bardzo uczona i długa, pełna najtrudniejszych wyrazów chińskich, a wszyscy mówili, że ją czytali i rozumieli, bo każdy się lękał otrzymać tytuł głupca i herb z długiemi uszyma.

Tak trwało przez rok cały. Cały dwór i wszyscy Chińczycy umieli na pamięć najmniejszy klek sztucznego spiewaka. Ale właśnie dlatego podobał im się teraz najbardziéj, bo mogli mu wtórować i spiewali z nim razem. Dziatwa uliczna nuciła: i sam Pan nucił także. O, to w istocie rozkosz było słuchać!

Ale pewnego wieczora, właśnie gdy sztuczny ptaszek spiewał w najlepsze, a Pan jego leżąc w łóżku wtórował mu, skwirknęło coś wewnątrz, wszystkie kółka zasyczały i nagle ustała muzyka.

Cóż-to się stało? Pan wyskoczył natychmiast z łóżka i kazał przywołać swego lekarza nadwornego; ale cóż ten mógł poradzić! Potem wezwano zegarmistrza, który po długiém szperaniu naprawił wreszcie ptaszka, jednak ostrzegł zarazem, że trzeba go bardzo szanować, gdyż kółka są pościerane, a niepodobnaby było nowe tak zaprawić, by maszyna należycie grać mogła. To było wielkie nieszczęście! Tylko raz na rok mógł spiewać ptaszek, a i to już było za wiele. Ale wówczas wystąpił słowikarz z krótką przemową pełną najtrudniejszych wyrazów, dowodząc, że to nic nieszkodzi i wszyscy byli znów tak radzi jak piérwéj.

Wreszcie upłynęło pięć lat i cały kraj był w istocie pogrążony w wielkim smutku. Już-to Chińczycy kochali wszyscy swego Cesarza, a teraz leżał on śmiertelnie chory i niemógł żyć dłużéj, jak twierdzili lekarze. Już obrano nowego, a lud skupiał się przed pałacem i pytał kawalera, jak się miewa dawny Monarcha.

„Pe!“ odpowiadał kawaler i wstrząsał tylko głową.

Zimny i blady spoczywał Pan nieruchomie na swém dużém przepyszném łożu; cały dwór sądził, że już umarł, i każdy spieszył witać nowego Cesarza. Lokaje pozbiegali do ogrodu i szeptali między sobą, a pokojówki zebrały się na kawę. Wszystkie sale i krużganki były wyłożone suknem, by żaden łoskot nieraził chorego, i dokoła panowała grobowa cisza. Ale Cesarz nieumarł jeszcze; leżał blady na swém kosztownem łożu o długich kotarach aksamitnych i ciężkich kutasach złotych; wysoko nad niém było otwarte okno, i blask księżyca oświécał oblicze jego i stojącego obok sztucznego ptaszka.

Biédny chory zaledwie mógł oddéchać; zdawało mu się, że coś siedzi na jego piersiach; otworzył oczy i ujźrzał śmierć, która siedząc mu na piersiach wsadziła sobie na głowę złotą koronę jego, i w jednem ręku trzymała złotą szablę, a w drugiém kosztowną chorągiew państwa. Dokoła zaś z licznych fałdów aksamitnéj kotary wyzierały dziwaczne głowy; jedne potworne i straszne,

drugie łagodne i miłe. Były to wszystkie złe i dobre czyny dokonane za życia, które stawały mu teraz na oczach, gdy śmierć siedziała na jego sercu.

„A czy pamiętasz to?“ — szeptała jedna po drugiéj. — „A czy pamiętasz to?“ A potem opowiadały tyle, aż zimny pot występywał na czoło.

„O tém nic niewiedziałem!“ — mówił umierający. „Héj muzyki, muzyki, na Boga!“ — wołał — „bym niesłyszał tego! Niech uderzą w wielki bęben chiński, by zagłuszyć tę wrzawę piekła!“

A głowy nieprzestawały mówić daléj, i śmierć jak Chińczyk kiwała głową na wszystko, co powiadano.

„Muzyki, muzyki!“ — wołał; „ty mały, przecudny ptaszku złoty! Spiewajże, spiewaj! Ja cię przecież obsypywałem złotem i klejnotami; ja sam zawiesiłem ci na szyję złoty mój klejnot: spiewajże, spiewaj!“

Ale ptaszek milczał; niebyło nikogo, coby go nakręcił, a inaczéj niemógł spiewać. Śmierć zaś nieprzestawała nań patrzéć swemi strasznemi oczyma, i była cisza, okropna cisza dokoła.

W tém zadzwonił nagle u okna przecudny spiew jakiejś ptaszyny: był-to ów mały, żywy słowik, którego niegdyś wygnano z kraju i państwa. Dziś jednak dowiedział on się o nieszczęściu swego Cesarza i przybył spiewać mu pociechę i nadzieję. I gdy tak spiewał, płowiały coraz bardziéj złowrogie widma; krew zaczynała coraz prędzéj krążyć w schorzałem ciele Cesarza, a nawet sama śmierć słuchała i mówiła: „O spiewaj, mały słowiku!“

„Dobrze, będę spiewał;“ — mówił słowik — „ale daj mi tę śliczną złotą szablę! — daj mi tę kosztowną chorągiew! — daj mi koronę Cesarza!“

I śmierć dała każdy klejnot za chwilkę spiewu; a słowik spiewał ciągle, spiewał o cichym cmentarzu, gdzie kwitną białe róże, gdzie rosną bzy woniejące i gdzie trawę zwilżają łzy wdów i siérot. Wówczas zatęskniła śmierć za swoim ogrodem, i uleciała jak zimna, szara mgła przez okno.

„O, dzięki ci, dzięki!“ — wołał Cesarz — „mój ty mały, niebiański ptaszku! Ja ciebie znam! Ja cię wygnałem z mego kraju i państwa! A ty przecież zażegnałeś twym spiewem złowrogie widma, uwolniłeś mnie od śmierci! Czémże ci to wynagrodzę?“

„Jużeś mnie wynagrodził!“ — rzekł słowik — „w twych oczach błyszczały łzy, gdym spiewał po raz piérwszy: tego nigdy niezapomnę! To są klejnoty najdroższe dla serca spiewaka! — Ale teraz śpij i stań się rzeźwym i zdrowym! Ja ci będę spiewać!“

I spiewał — a Cesarz usnął tak słodko jak niegdyś w dniach szczęścia!

Gdy nazajutrz słońce zajźrzało do jego sypialni, wstał tak silny i zdrowy jak dawniéj. Żaden ze służących jego niepowrócił jeszcze, bo wszyscy sądzili, że już umarł; ale słowik siedział jeszcze i spiewał.

„Musisz na zawsze pozostać przy mnie!“ — mówił Cesarz. — „Będziesz spiewał wtedy tylko, kiedy sam zechcesz, a sztucznego ptaszka rozbiję na drobne kawałki.“

„Nierób tego!“ — rzekł słowik. „On służył ci dopókąd mógł tylko! Zatrzymaj go więc, jak dotąd! Ja niemogę mieszkać w pałacu; ale pozwól mi przylatywać, kiedy mi się podoba; wtedy usiądę wieczorem na téj gałązce u okna, i będę ci spiewał, abyś się pocieszył i zadumał razem! Będę ci spiewał o szczęśliwych, i o tych którzy cierpią! Będę spiewał o złém i dobrém, co się ukrywa dokoła ciebie! Małe ptasze lata daleko do biednych rybaków, do strzechy wieśniaka, do każdego, kto musi żyć zdala od ciebie i od twego dworu! Ja miłuje twe serce bardziéj niż twoją koronę, a przecież koronę otacza jakiś urok świętości! — Ja przyjdę i będę ci spiewać! — Ale jedno musisz mi przyrzec.“

— „Wszystko!“ — rzekł Cesarz, i na znak potwierdzenia przycisnął swą złotą szablę do serca.

— „O jedno tylko cię proszę: Niemów nikomu, że masz takiego ptaszka, co ci wszystko powiada; a będziesz szczęśliwszym jeszcze!“

I potem odleciał słowik.

A gdy po chwili weszli słudzy do sypialni, by zobaczyć nieboszczyka, zdziwili się i zapomnieli języka, bo Cesarz wystąpił naprzeciw nim w całym swym majestacie i powiedział im: „Dzień dobry!“ —

ZAGRODA WIEJSKA.

Powiastka z piérwszych lat XIX. wieku.

(w Bibliotece Warszawskiéj z roku 1854.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 47. 48. 49. 50. Rozmaitości.)

— „Ależ stryjaszku! mnie nie brak cześci
Dla kasztelanki, jeno nie pragnę
Mieć jéj na żonę. Już ja nie nagnę
Karku do jarzma; za nic mi włości,
Bym z niemi znosił fochy jejmości.
Dawnych splendorów nie cenię wiele;
Toż antenaty i parentele
Szczęścia nie dadzą w małżeńskim stanie.
Choć wizerunki przodków na ścianie
Zawieszę mnogie; toć z niemi w progi
Nie wejdzie pokój cichy i błogi.
Nie miłe-ć pono i własne dziatki,
Gdy się nie skłania serce do matki.
  Bóg świadkiem, stryju, łaskę twą cenię,
Lecz z kasztelanką się nie ożenię,
Jakem sodalis, jakem Prandota
U mnie za plewę nie stoi cnota,
A pono cnotę każdy bezcześci,
Kto się za posag sprzeda niewieści!“

— „Ha! czyńże Waszeć, jak się podoba;
Lecz jak Bóg Bogiem, cała chudoba
Przepadnie Waści, na wieków wieki!
  Jestci tam pono krewny daleki
Gdzieś w czerskiéj ziemi, a chłopak żwawy
Mówił mi o nim kwestarz z Warszawy
Od Bernardynów, kiedy za gwiazdą
Był u mnie w adwent: Prandotów gniazdo
Nie zginie marnie na Bożym świecie.
  Kiedyć mi Wasze koszałki plecie,

Kiedy jak widzę obce rozumy
Zbawiły Waści rodowéj dumy,
Gdy kasztelankę za nic masz Wasze:
Jak Pan Bóg Bogiem, nie dam ja w kaszę
Naplwować sobie. Oj! Boża kara
Straszno zawisła!... Kędyżto wiara
W starych, co długie przeżyli lata?
Oj! nie żal pono schodzić ze świata!
Dziś lada młodzik starszym urąga,
Choć jego rozum nie wart szeląga
Pijarskie szkoły toć to sprawiły:
U Jezuitów, jak mi Bóg miły
Inaczéj było!"

Tu starzec czoło
Potrze z niechęcią, spojźrzy wokoło.
Wojciech raz poraz zwróci się stary,
Sam nie wié, ile przyłożyć wiary
Do słów stolnika; z myślą się biedzi,
I niespokojny na koźle siedzi.
Radby przemówił; — nie śmié: bo nie wié
Czy pan naprawdę w tak strasznym gniewie.
Jednak miarkuje, że więcéj krzyku,
Niżeli złości w starym stolniku
Nie taki straszny, pomyśli w duszy
Djabeł, jak sądzą; więc sobie tuszy,
Że z groźnéj chmury niezawsze bywa
Na Bożym świecie wielka ulewa.

Żal Wojciechowi pana Marcina
I tylko w myśli smutno wspomina,
Jak go przed laty prowadzał w pole;
Jak uczył strzelać drobne pachole
Z swéj pojedynki; jak chłopak gładki
Igrał wraz z jego własnemi dziatki;
Jak go z Łowicza na wypoczynek
Zwoził co lato w parę szkapinek.
A co najwięcéj serce Wojciecha
Ujęło: oto, jego pociecha,
Jego Marysia, córka jedyna,
Z łaski dobrego pana Marcina
Czyta i pisze; wprawdzie niewiele,
Przecież z książeczką siada w kościele
Jakby panienka. Toż Wojciech stary
Pana Marcina kocha bez miary,
Chociaż z innemi równo go łaje.
Ot i pan Marcin kiedy dostaje
Mores od starca, to stuli uszy,
Nawet ramieniem nigdy nie wzruszy,
Lecz sobie myśli: „Ha! niechaj plecie,
Stary jak stary: jużto na świecie
Obyczaj taki."

Poczciwy Grzela
Z Wojciechem skryte myśli podziela;
Boć i on także niemniéj Marcina
Wiek pacholęcy mile wspomina:
Jak go raz piérwszy sadzał na siwkę,
Jak kucykowi zaplatał grzywkę.
Co to uciechy, gdy do bacika
Wiązał trzaskawkę dla paniczyka!...
A gdy raz Marcin jedzie ze szkoły,
Siada na kozioł: doły nie doły,
Kamień nie kamień, daléj a daléj
Pogania siwce, a z bicza pali.
A stolnik myśli, że Grzegorz stary
W karczmie wódeczki łyknął bez miary:
Woła i stęka, siedząc w kolasce.
Toć Grzegorz ufny w stolnika łasce,
Chętnie przyjmuje od pana burę,
Byle z panicza oddalić chmurę.
A i Marcinek, choć sam nieboże
Ledwie rozrządzić złotówką może:
Nigdy nie wrócił ze szkół z Łowicza,
By Grzegorzowi nie przywiózł bicza.

Toż usłyszawszy stolnika słowa,
Grzegorz na koźle siedzi by sowa,
Kiedyniekiedy głową pokiwa,
I tylko myśli: oj! panicz piwa
Nawarzył próżno! Jak Bóg na niebie,
Pan go wypuści z kwitkiem od siebie.
Oj! ciężka dola, ciężka sierocie,
A takby jeno opływał w złocie
Jak pączek w maśle.

A u Wojciecha
Inna myśl w głowie: piękna pociecha —
Mruczy pod nosem, — taka bogdanka!
Toż przy paniczu, ta kasztelanka
Nie przymierzając, jak strach na ptaki
Istnie wygląda; toć jaki taki
Radby przynajmniéj pod własną strzechą
Na swą gosposię spojźrzeć z pociechą;

A tu i ruda, i kosooka,
Na czole szrama jakaś głęboka
Jakby od korda. Że tężto stary
Nie pomni, jako bywał sam jary.

Toż Wojciech z Grzesiem obaj nie radzi:
Przykrym gniéw pana wiernéj czeladzi.
Każdy z nich jeno myślą przenika
Tajniki duszy pana stolnika.
A na ostrzejsze cokolwiek słowo,
Każdy z nich skinie nieznacznie głową.
W miarę jak im się coś niepodoba,
Trącą się jeno łokciami oba;
Spojźrzą na siebie niby ukosem,
Coś niewyraźnie bąkną pod nosem,
A frasobliwi myślą jednaką,
Społem się oba raczą tabaką.
Grzela prostaczek, z króbki brzozowéj
Dobywa szary proszek domowy,
Utarty z liścia wałkiem w donicy,
(A choć przed dwoma laty w Łęczycy
Siedział nieborak za marne ziele,
Całe podobno cztéry niedziele:
Stare narowy chowa nieboże,
Bo mu się w głowie zmieścić nie może,
By zdrożność była w tém jaka taka).
Za to Wojciecha lepsza tabaka:
Prawdziwa rapa; a tabakiera
Aż pół ołówka w sobie zawiera.
Obaj częstują się naprzemiany,
A myśl ich liczne wysnuwa plany.

I stolnik milczy jakoś ponuro,
A czoło jego wezbrane chmurą
Jak kiedy grozi straszliwa burza.
I droga mu się dziwnie przedłuża:
Nic go nie bawi, ni żytnie pole
Płynące falą, ni czarne role
Które przy drodze, w cztery płużyce
Kmiotki pod nową orzą pszenicę.
Co większa nawet, gdy środkiem drogi
Przeciw kolasy szedł człek ubogi,
Gdy uniósł czapkę, i ukorzony
Rzekł: Jezus Chrystus bądź pochwalony!
Stolnik w kolasie jakby sęp siedział;
Zrazu nic nawet nie odpowiedział,
Aż gdy kmieć przeszedł „Amen!“ wykrzyka,
By go przypadkiem za heretyka
Nie wziął podróżny.

I stolnik oczy
Przymruża zwolna. Sprzeczna myśl tłoczy
Umysł starego: boć z jednéj strony
Oporem zda się być obrażony,
Nie rad, że jego myśli i plany
Jako kwiat z gruszy porankiem zwiany,
Poszły na marne; — z drugiéj znów pono,
Potęgą prawdy niezwyciężoną
Czuje, choć tego pewno nie powie,
Że jest i słuszność w Marcina słowie.

Wspomniał swą młodość, a potem czoło
Znów mu się chmurzy; myśl nie wesoło
Ściga doznane w życiu zawody.
Toż myśli sobie: oj głupi młody!
Afekta mu się jakieś po głowie
Snują daremno. Wierz białogłowie!
Goń zdrów za szczęściem, jakoby było
Szczęście na ziemi: toć pod mogiłą
Odpocząć człeku! Tu uplecione
Z ciernia sam Chrystus nosił koronę,
I pod brzemieniem krzyża giął srogiem
Strudzone barki, chociaż był Bogiem
A człeku zda się w ranku żywota,
Że mu koniecznie powinna złota
Zaświecić dola. Oj! te Pijary
Młodzież zbawiły dawniejszéj wiary!
U Jezuitów inaczéj było:
Onićto jeno poza mogiłą
Ukazywali szczęśliwą dolę,
A nie na marnym ziemskim padole.
Dziś filozofy, dzieciuchom pałki
Pozawracały: plotą koszałki!

A Marcin znowu myśli nieboże:
Ot trudna rada, nic nie pomoże,
Ja kasztelanki nie chcę za żonę:
Niech licho weźmie wioskę zdłużoną.
Pan Bóg dał ręce nie dla ozdoby,
Toż człek i dojdzie jakiéj chudoby.

A po téj myśli oko młodziana
Dziwnie zapłonie, i niby znana

Piosenka w duszy zadźwięczy mile.
Czuje się w pełnéj żywota sile,
Świat mu otworem, szeroki, długi,
Otworem bujne pole zasługi;
A tam niebawem cudnie zabrzmiała
W odległych stronach zwycięzcy chwała!...

I znów żal ściśnie serce Marcina,
Łza błyśnie w oku, bo przypomina
Zacnego stryja opiekę tkliwą.
Onto miał kwiatem starość sędziwą
Potrząsnąć kiedyś! I oko cieniem
Zachodzi, pierś mu cichém westchnieniem
Ozwie się, skoro z bolem wspomina,
Że gdy ostatnia przyjdzie godzina,
Nie on starcowi zamknie powieki,
Lecz nowy przybysz, krewny daleki.

Gdy wszystkich myśli krążą ponuro
W jednémże kole: — i niebo chmurą
Kryje się zwolna. Nasamprzód drobne
Płyną obłoki: białe, osobne,
Na tle błękitu, jak po jeziorze
Stado łabędzi przepływa hoże;
A potem zwiane w grube tumany,
Jak rozhukane morskie bałwany
Z pędem wichury kłębią się chyżo.
A gdy się społem do siebie zbliżą,
Gdy się wzajemnym splotą uciskiem:
Grzmi niebo całe, i z jasnym błyskiem
Piorun wężykiem rozpara chmury,
I świat dokoła szumi ponury.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ŚWIĘTA GIRONDYNÓW.

Hucznie i wesoło odbyły się tego roku w Bordeaux święta Girondynów, obchodzone co wiosnę na ich pamiątkę. Prześliczne, gorące słońce przyświecało zabawie. Tłum różnobarwny postrojonych lub poprzebieranych biesiadników, zaległ od samego rana place, ulice i morskie wybrzeża.

W takich razach, ramy często tyle, a może i więcéj warte niż obraz. Bordeaux prócz tego, że leży nad morzem, co najnędzniejszéj mieścinie nadaje powab i koloryt, jest wielkie i piękne miasto: ulice szerokie, bogate bulwary, place na wielkie rozmiary, rywalizują z Paryżem, i przypominają najwspanialsze królewskie rezydencye. Zamożność i bogactwo wszędzie przebija. Do tego kobiéty tamtejsze słyną z piękności na całą Francyą, a co większa, sławie swéj zupełnie odpowiadają. Mając te cztery rzeczy: bogactwo, klimat piękny, piękne miasto i piękne kobiéty, łatwo ucztę wyprawić, łatwo najwspanialszą biesiadę urządzić. To też szliśmy wolno, z kolei to na szczegóły, to na całość zważając, bo wszystko było warte widzenia, w każdéj grupie tkwiła myśl jakaś, lub jakie dziejowe wspomnienie.

Malowniczy strój kobiét najprzód tu uderza cudzoziemca. Jaskrawe barwy, już jak na południu, gęsto rozsiane, mile bawią wzrok, znużony trochę monotonią czarnych lub szarych północnych ubiorów, zapewne bardzo rozsądnych, ale smutnych i wcale niełdnych. Wyrobnicy w Bordeaux noszą na głowie krasny fular, fantastycznie na wielką kokardę związany, i spadający na ucho jak frygijska czapka. Cera blada, owal twarzy pięknie narysowany, nos prosty, oczy żywe, usta figlarne, pełne gaskońskich przebiegów, które nawet w przysłowie poszły: oto typ powszechny tamtejszych kobiét. Dodać do tego potrzeba, że są jeszcze wymowniejsze od Paryżanek (rzecz do pojęcia trudna).

Mieszczanki noszą czépki niemniéj oryginalne jak chustki gryzetek. Kto nie widział czépka w Bordeaux, nie wié co to czépek. Rzecz skomplikowana jak fregata, albo pięcio-aktowa melodrama, złożona z tylu przypraw jak sos wielko-postny. Napoleon nazywał kobiétę duszą koronek; porównanie to niezawodnie przyszło mu na widok owych czépków, na których opis daremnie szukam wyrazu. Wszystkie te czépki lekkie, jasne, różowe, purpurowe, niebieskie, żółte, rozkwitłe, fruwające jak ptastwo wesołe, trzepocą się na głowach: zda się, że lada chwilę zaczną świergotać między sobą.

Dziewiąta bije, w bębny uderzono, otwierają się kraty ogrodów, i wybiega zeń chmura pierrotów (wyraz maskaradowy, któremu odpowiedniego nie stworzyliśmy dotąd). Ubrani w siennikowe materye, każdy niesie na długiéj tyce worek do kwestowania, który pod balkony Piérwsze piętra podstawia. Jest-

to awangarda pochodu najmniéj z dwustu ludzi złożona; zaczepiają przechodniów, śmieją się, rozmawiają z całą ulicą, srebrne pieniądze sypią się we woreczki, a tymczasem nadjeżdżają maskaradowe wozy.

Pierwszy pochód przedstawiał wjazd do Bordeaux Małgorzaty de Navare w roku 1578. Przerzucono wszystkie archiwa i biblioteki miejskie, i wyjęto z nich opisy najparadniejszych strojów, żeby takowe z historyczną dokładnością przedstawić. Cały więc poczet średniowiecznych dworaków, paziów, doboszy, żandarmów, chevau-legerów, trębaczy, przeciągnął jakby wizya jaka starych czasów. Na czele orszaku szedł jak wtedy, burmistrz miasta w srebrnéj opończy.

W tym wirze przeróżnych strojów, złocistych karet, piór, halabard, chorągwi, proporców, ślepiących blaskiem, głuszących wrzawą, niepodobna wszystkiego widziéć, cóż dopiéro opisać. Słońce tylko tłum ogarnia i maluje: pióro zaledwie główny przedmiot uchwyci.

Zajźrzyjmy więc najprzód do karety, w któréj siedzi królowa Małgorzata. Miała suknią z błękitnego aksamitu suto złotem haftowaną, na głowie perłowy dyadem. Najpiękniejszéj tancerce dostała się rola królowéj. Młodziutka, żywa jak skra, brunetka, miała przy boku cztery damy honorowe (także z baletu), niemniéj bogato przybrane. Terpsichora dnia tego kwestowała na ubogich: dlatego młodzież literalnie zarzuciła pięcio-frankówkami królewski powóz. Kobiéty dziękowały uśmiechem i gestem, zręcznie wachlarzami zasłaniając twarze od srebrnych pocisków.

Za niemi jechali konno panowie dworscy i rycerze. Ubiory ich dokładnie historyczne, zupełne czyniły złudzenie. Byłto prawdziwy kurs historyi w żyjących obrazach.

Potem następowały allegorye. Najprzód ogromny okręt wyobrażający handel, a na nim bandery wszystkich narodów handlujących z Francyą. Za nim na wspaniałym wozie dwie kobiéty uwieńczone kłosami, siedząc na snopach, przedstawiały rolnictwo. Wóz ciągnęły zwolna cztery woły ze złocistemi rogami; przy nich na beczce wina siedzący rolnik, lał ze srebrnego dzbana napój rubinowy.

Daléj na ogromnym globie jechała fortuna. Przez sześć godzin nieubłagany Febus przeszywał biedaczkę ognistemi strzałami; mimo to nie zeszła z bajecznéj wysokości, na któréj siedziała ledwie dojrzana od śmiertelników. Wokół globu zawieszone cztery okazałe piękności, wyobrażały cztery części świata. Afryka mianowicie dobrze była reprezentowana: krucze jéj włosy, wzrok palący, ogorzała cera, zwracały ku sobie oczy.

Daléj ciągniono na białym wozie artystów i pisarzy z XVI wieku. Rubens w złotym łańcuchu na szyi, w kapeluszu z piórami stał na przedzie; przy nim blady i ponury Camoens; obok nich Paweł Veronese, Carragio, Michał Anioł, Aryost i francuzkie znakomitości artystycznie ustawione były. Cała ta grupa jechała w poważném milczeniu; tłum patrzał z uszanowaniem na tę perłę uroczystości, i jałmużny nie rzucał. Ponad białym wozem artystów wznosiły się trzy siostry: poezya, rzeźba i muzyka trzymając się za ręce.

Za niemi jechało miasto Bordeaux w allegoryi. Byłto olbrzymi wóz przepełniony ozdobami, przeładowany bogactwem. Na nim potężna kobiéta z wieżami na głowie, z księgą praw w ręku wyobrażała miasto; u nóg jéj trzy dziewice: sprawiedliwość, przemysł i sztuka.

Daléj następowały niezliczone fantastyczne grupy, jakoto: Nemrod, siedmiu mędrców greckich suto udrapowanych i brodatych, szkoła tańca ze starym nauczycielem, któremu uczennice figle płatają i t. d.

Między tém wszystkiém krąży tłum powozów pełnych młodzieży, sypiącéj cukrowym makiem na przechodniów i balkony: zaczepiają się społem, śmieją, i wadzą jak w karnawał na rzymskiém Corso. Cały orszak wysypał się nareszcie na wybrzeża, zkąd po jednéj stronie widać roztaczającą się w półkole panoramę miasta, po drugiéj mnóstwo świątecznie przystrojonych okrętów, statków, łodzi i łódek, które muzyką witały orszak.

Wieczorem w ogromnéj sali kwiatami od góry do dołu ubranéj, był koncert, na którym spiewali artyści paryzcy. Sali tak wielkiéj podobno niéma w całéj Francyi: 10.000 osób siedziało w niéj, wprawdzie niebardzo wygodnie, ale siedziało.

Nazajutrz był steeple-chase, na którym ścigały się osobiście lordy i vicomty; najwyższa wygrana była 10,000 franków. Wieczorem koncert instrumentalny; tłok tenże sam, ale dobór sztuk lepszy. Wykonywano dzieła samych wielkich mietrzów: Palestryna, Hayden, Mozart, Haendel, Rossini, Mendelsohn, Berlioz, naprzemiany zachwycali słuchaczy. Nakoniec pięciuset muzykantów zagrało uwerturę Meejerbera, i na tém zakończono dzień drugi.

Był jeszcze trzeci i czwarty, ale zważywszy że długie opisy nudzą, nadmienię tylko, że czwartego dnia znów krążyły maskaradowe orszaki, jeszcze piękniejsze, bo przy pochodniach: spacery i pomniki gorzały w tajemniczéj purpurze bengalskich ogni, niebo zasypane było skrami fajerwerków, a wspaniały bal pod gołém niebem, na którym tańcowało najmniéj 50,000 osób, zakończył święta Girondynów, przypominając wspaniałością rzymskie igrzyska.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*